

SPOKO



Data wydania: 11.09.2025r.



Siła pamięci

11 września 2025r. mija 16. lat, od kiedy nasza szkoła w Zimnicach Wielkich przyjęła księdza Karola Brommera jako swojego patrona wraz ze sztandarem z jego wizerunkiem. W tym roku 27 stycznia minęło 80. lat od jego męczeńskiej śmierci. Obie rocznice są powodem, dla którego oddajemy do rąk Czytelników specjalny numer naszej gazetki powstałej dzięki inicjatywie nauczycieli i uczniów Publicznej Szkoły Podstawowej im. ks. Karola Brommera w Zimnicach Wielkich. Gazetka jest częściowym powieleniem wydania z 20 stycznia 2005 r. poświęconego 60. rocznicy śmierci patrona szkoły i 64. niewinnie zabitych zimniczan, którzy zginęli z rąk żołnierzy radzieckich. Zamieszczono w niej wspomnienia tych, którzy przeszli przez piekło na ziemi – II wojnę światową. Teraz, gdy nie ma ich już wśród nas i wiele szczegółów zatarło się w ludzkiej pamięci, niezwykle cenne są te zapiski mieszkańców Boguszyc, Chrzaszczyc, Folwarku, Groszowic, Gwoździc, Zimnic, Żlinic. Są też zapisy dotyczące księdza Karola, o którym pamięć jest wciąż żywa. Młodsze pokolenie zna go właśnie z tych opowieści i odczuwa dumę, że to nie bohater z książki, ale jeden z nas, który tę zimnicką ziemię i ludzi ukochał tak, że nie opuścił ich w obliczu śmierci.

Autorami prac są absolwenci naszej szkoły, którzy zachęceni przez nauczycieli w porę zdążyli udokumentować tragiczne przeżycia swoich dziadków czy sąsiadów podczas rozmów.

Dramat II wojny światowej jest nie tylko doświadczeniem, ale też przestrogą dla przyszłych pokoleń.

**Zawsze pamiętaj o poległych
żołnierzach.**

**Zawsze pamiętaj ojców i synów na
wojnie.**

**Zawsze pamiętaj o pogrzebanych
w historii.**

Jolanta Drwięga



Uroczystość nadania imienia ks. Karola Brommera Zespołowi Szkół w Żimnicach Wielkich,
11.09.2009r.

Wspomnienia o księdzu Karolu Brommerze z Zimnic

Ksiądz Karol Brommer urodził się 7 marca 1911 r. w Steblowie, obecnie dzielnicy Lublińca, a ochrzczony został 14 marca 1911 r. w kościele parafialnym św. Mikołaja w Lublińcu. Matką chrzestną była Johanna Giebel z Żędowic, a ojcem chrzestnym cesarz i król pruski Wilhelm II. Według ówczesnego prawodawstwa, gdy w małżeństwie kolejno rodzi się synowie, to poczynając od siódmego – wpisywano do księgi metrykalnej jako honorowego ojca chrzestnego samego cesarza pruskiego, którego reprezentował delegowany przedstawiciel z Regierungsamt w Opolu. Karol był dziewiątym synem małżonków Józefa i Józefy z domu Böhm. Rodzice przyszłego księdza wybudowali w 1903 r. na peryferiach miejscowości Steblów dom i zagrodę niewielkiego gospodarstwa rolnego, z zarobków zaoszczędzonych na kolei, na której od dziesięciu lat pracował ojciec Karola.

Karol jako sześciolatek rozpoczął naukę w 1917 r. w szkole powszechnej. W 1924 r. podejmuje naukę w gimnazjum w Lublińcu, po dwóch latach przenosi się do gimnazjum humanistycznego w Bytomiu. Jest bardzo pracowity, w krótkim czasie nadrabia różnice programowe. Osiąga bardzo dobre wyniki w nauce, dzięki czemu uzyskuje stypendium. Mieszka w konwiktach biskupim dla chłopców.

Dodatkowo zaczyna udzielać korepetycji słabszym uczniom, co pozwala mu na pewną niezależność finansową. Po zdaniu matury podejmuje studia teologiczne na Uniwersytecie we Wrocławiu. W czasie studiów otrzymał anonimowo pieniądze, jakie według przypuszczeń pochodziły od rodziców tych dzieci, którym udzielał wcześniej korepetycji. Równocześnie z ukończeniem studiów teologicznych uzyskuje prawo nauczania w języku polskim, co było potrzebne w przyszłej pracy duszpasterskiej na terenie Śląska, gdzie ludność posługiwała się zarówno językiem niemieckim, jak i polskim.

Karol Brommer otrzymał święcenia kapłańskie z rąk księdza metropolity kardynała Bertrama 5 kwietnia 1936 r. we Wrocławiu. Uroczystości prymicyjne odbyły się natomiast w kościele parafialnym św. Mikołaja w Lublińcu. Posługę duszpasterską ksiądz Brommer rozpoczyna w Groszowicach koło Opola 1 maja 1936 r., gdzie pracował tam tylko rok. Zapamiętała go pani Jadwiga Kornek jako osobę bardzo energiczną, życzliwą i przede wszystkim pobożną, zachęcającą młodzież do wspólnej modlitwy. Następną placówką duszpasterską była położona także blisko Opola parafia Chrzęszczyce, w której ksiądz Karol Brommer w latach 1937 – 1941 był wikarym.

W kronice parafialnej Chrzęszczyc zanotowano: „Ksiądz Brommer pracował wzorowo i sumiennie, był dzielny pomocnikiem. Kiedy ksiądz Piechota z Wielkich Zimnic został wygnany, ksiądz Brommer musiał go od razu zastąpić i objąć duszpasterstwo w lutym 1941 r.”

We wspomnieniach mieszkańców Chrzęszczyc jawi się jako bardzo dobry kapłan, spokojny, lubiany przez ludzi, bowiem utrzymywał z nimi żywy, bezpośredni kontakt w pracy duszpasterskiej. Podobnie dobrą pamięć o nim mają mieszkańcy wsi Folwark należącej do tej samej parafii.

Z dniem 4 lutego 1941 r. ks. Karol Brommer zostaje przeniesiony do Zimnic Wielkich, gdzie pełni obowiązki duszpasterza. W 1943 r. jako administrator parafii przygotowuje projekt budowy kaplicy i ogrodzenia cmentarza. Ks. Karol Brommer próbował dotrzeć do wszystkich parafian mieszkających stale lub czasowo przebywających w tej parafii. Oprócz zwykłych, codziennych posług duszpasterskich oraz nabożeństw odprawianych w języku niemieckim zachodziła potrzeba prowadzenia pracy duszpasterskiej w stosunku do ludzi dobrze nie znających tego języka. Byli to głównie robotnicy rolni wysyłani na te tereny na roboty przymusowe w czasie wojny.

Mimo zakazu władz hitlerowskich i groźby wysłania do obozu koncentracyjnego za jego naruszenie ks. Karol Brommer udzielał tym ludziom posług duszpasterskich, odprawiając dla nich nabożeństwa w języku polskim (odprawianie mszy o godz. 11⁰⁰ odbywało się w zamkniętej na ten czas kaplicy bocznej kościoła).

Wiele było form pracy duszpasterskiej podejmowanych od samego początku w tej parafii przez księdza Brommera. Najlepiej rozumiał potrzeby młodzieży. Organizował różne spotkania, np. Dzieci Maryi w Chrzęszczycach, na których były modlitwy i śpiewy, przedstawienia.

W Zimnicach założył Kongregację Mariańską, której członkowie wraz z księdzem przygotowywali spotkania i przedstawienia o charakterze religijnym. Szczególnie uroczyscie były obchodzone nabożeństwa Maryjne i różańcowe. W 1942 r. ksiądz Brommer i nauczyciel Rasenberger założyli chór kościelny, ucząc parafian wielu pieśni religijnych. W Wielkim Tygodniu odmawiane były modlitwy przy Grobie Pańskim. Podczas Bożego Narodzenia dzieci śpiewały i modliły się przy żłóbku. Raz w tygodniu były organizowane dla młodych spotkania w salce katechetycznej. Wszystkim się to podobało

i każdy tam chętnie chodził. Ksiądz często organizował dla młodzieży wycieczki rowerowe do parafii, w której poprzednio był kapelanem.

Starszych ludzi werbował do Trzeciego Zakonu, a tych chorych i samotnych odwiedzał, pocieszał i duchowo wspierał. W roku jubileuszowym 700-lecia św. Jadwigi odbyło się w naszej świątyni bierzmowanie. Życzeniem kapłana było, aby wszystkie dziewczęta podczas bierzmowania otrzymały imię Jadwiga. Najtrudniejsze chwile dla miejscowej ludności nastąpiły, gdy zbliżał się front wojenny.

Już w grudniu 1944r. ks. Karol postanowił przyspieszyć przygotowanie dzieci, które wiosną przyszłego roku miały przystąpić do I Komunii Świętej, aby przed nadejściem frontu mogły przyjąć ten sakrament. W dniach 12-13 stycznia 1945 r. ksiądz Brommer odwiedził rodzinę w Lublińcu i Steblowie. Mimo usilnych nalegań rodziny, zwłaszcza matki, aby pozostał i przeczekał działania wojenne w rodzinnym domu – odpowiedział, że w tych trudnych chwilach musi być wśród swoich parafian. Odjechał rowerem, gdyż pociągi z Lublińca już nie kursowały, natomiast trwały naloty samolotów ostrzeliwujących drogi z broni pokładowej. Przerażona rodzina obserwowała z okna, jak w odległości około 300 m krył się w rowie przed ostrzałem. Taki obraz zapamiętała matka – ostatni z jego życia. Łączność między nimi została przerwana. Jedynie pewnego dnia pod koniec stycznia 1945 r. w domu rodzinnym zatrzymały się o jednej porze

wskazówki trzech zegarów, mimo że były nakręcone. W ostatnim tygodniu swego życia, gdy słyhać było we wsi Zimnice Wielkie wystrzały armat zbliżającego się frontu radzieckiego, ks. Karol Brommer po codziennych naukach religii zdążył przygotować dzieci do spowiedzi i I Komunii Świętej, którą w podniosłym nastroju, ale ze zrozumiałą w tych okolicznościach trwogą, dzieci te przyjęły w niedzielę 21 stycznia 1945 r. W tych dniach duszpasterz apelował do wiernych, by nie opuszczali swych stron rodzinnych, a i on obiecał, że wiernych także nie opuści. Tak też uczynił, pieczętując to swoją śmiercią. Zanim żołnierze radzieccy wkroczyli do wsi, wszystkim wiernym w kościele udzielił generalnego rozgrzeszenia. Parafianie prosili go, by schronił się w Prószkowie, ale on był nieugięty – „dobry pasterz nie opuszcza swej owczarni” - odpowiadał na te prośby. 24 stycznia 1945 r. odprawił mszę św. w prawie już pustym kościele, gdyż ludzie kryli się w piwnicach przed zbliżającym się od paru dni frontem. Następnego dnia żołnierze wkroczyli do wsi – niewinni ludzie byli zabijani, płonęły domy, a pijani żołnierze frontowi plądrowali i popełniali gwałty. Ksiądz Karol Brommer zginął 27 stycznia 1945 r. od kul jednego z takich żołnierzy na schodach prowadzących do piwnicy w domu parafialnym. Inni żołnierze podpalili ten dom, który płonął przez kilka następnych dni.

Ciało księdza (a właściwie tułów oddzielony od głowy, gdyż spadające belki i części stropu przysypały zgłiszczami jego głowę) zostało przez parafian odnalezione i razem z innymi ciałami zabitych mieszkańców tej wsi pochowane w Prószkowie. Dopiero po kilku miesiącach, gdy tam dokonywano ekshumacji prowizorycznie pochowanych ofiar wojny, na probostwie w Zimnicach Wielkich odnaleziono w popiele szczątki spalonej głowy. Owinięto ją obrusem liturgicznym i wraz ze stulą oraz kluczykiem do tabernakulum umieszczono z ekshumowanymi szczątkami, dokonując 2 czerwca 1945 r. uroczystego pogrzebu księdza przy murach kościoła, w którym w ostatnich czterech latach pełnił swoją służbę kapłańską. Na wielki żal i łzy parafian biorących udział w tej smutnej ceremonii pogrzebowej ówczesny ksiądz dziekan z Prószkowa powiedział na pocieszenie:

„ Nie płaczcie, bo wasz kochany duszpasterz już dojrzał do nieba ”.

Bibliografia: „Ksiądz Karol Brommer 1911 – 1945 we wspomnieniach rodziny i parafian”, Opole 1993.

Patryk Szynol, 2002r.

Parafianie o księdzu Karolu Brommerze - wywiady

Jadwiga Kornek z Groszowic

„Miałam 17 lat i byłam sekretarką na plebanii. Ksiądz Brommer był wikarym, który po prymicach rozpoczynał pracę duszpasterską właśnie u nas. Był on młody, pełen zapału, lubił pracować z młodzieżą. Bardzo pobożny.

Niewielkiego wzrostu, szczupłej budowy ciała, miał czarne włosy, bystre, ciemne oczy. Był bardzo krótko w naszej parafii.”

Jadwiga Gryc z Chrzaszczyc

„Byłam dzieckiem, jak do naszej parafii przybył ksiądz Brommer. Miałam 12 lat. Księdza Karola wszyscy bardzo szybko polubili. Chciał pracować z młodzieżą, sam nie potrafił za dobrze śpiewać, jednak zachęcał do tego młodych, by śpiewali w chórze.

Założył w naszej wsi bibliotekę i Caritas.”

Maria Mróz z Gwoździc

„Mieszkałam w Zimnicach Wielkich i pracowałam jako opiekunka dziecięca w klasztorze. Tam ksiądz Brommer przychodził na śniadania, obiady i kolacje, które mu przygotowały siostry zakonne. Organizował wycieczki rowerowe. Odwiedziliśmy siostrę zakonną, która pracowała w Zimnicach, również księdza Piechotę, który mieszkał w Szklarskiej Porębie. Ksiądz Karol bardzo chciał, abym poszła do zakonu, widział we mnie siostrę zakonną.

Myślę, że ksiądz Brommer jest święty.”

Zofia Ryrko i Franciszka Gogolok z Zimnic Wielkich

„Ksiądz Brommer dał się poznać jako bardzo dobry człowiek. Starał się o każdego parafianina, odwiedzał ludzi starych i schorowanych nie tylko podczas odwiedzin chorych, ale często wstępował bez zapowiedzi, by z nimi porozmawiać, pocieszyć, pomóc. Uczył dzieci religii, często je odprowadzał, kierowcy autobusu zapłacił z własnej kieszeni za przewóz. Był bardzo dobry, nie chciał opuścić parafii w czasie frontu, choć mieszkańcy go do tego namawiali.”

* * *

Jako młody zimniczanin poznałem historię wojny nie tylko z podręczników, ale także z opowiadań mieszkańców, rodziny mojej prababci i te wspomnienia pozostaną w mojej pamięci na pewno dłużej niż te z książek. Rozmawiając ze staruszkami, widziałem w ich oczach łzy, gdy wspominały księdza Brommera. Żałuję, że dopiero teraz poznałem historię księdza, który oddał życie za mojego dziadka, mamę, mnie ...Ksiądz Karol swoim życiem dowiódł, iż nie dzielenie ludzi na gorszych czy lepszych, lecz łączenie ich w miłości do bliźnich, to droga do Boga – w istocie jest to najważniejszym przesłaniem, jakie chciał po sobie pozostawić.

Patryk Szynol, 2002r.

Dobry pasterz nie opuszcza swej owczarni

Zainteresowany historią Zimnic odwiedziłem panią Teresę Blachutzik, która była uczestniczką pamiętnej Komunii w 1945 r. sprawowanej przez księdza Karola Brommera. Miała wówczas osiem lat. Chętnie podzieliła się ze mną swoimi wspomnieniami:

* * *

"Ksiądz Brommer umiał się obchodzić ze starymi ludźmi i z młodymi też się rozumiał. Lubił jeździć na rowerze i organizował wycieczki dla młodzieży. Założył chór kościelny, a potem także Kongregację Mariańską, która przygotowywała spotkania i przedstawienia o tematyce religijnej.

Co niedzielę potajemnie odprawiał msze w języku polskim dla tych we wsi, którzy nie znali niemieckiego. Wiedział, że grozi mu za to osadzenie w obozie koncentracyjnym. W 700-lecie św. Jadwigi, patronki Śląska, odbyło się w naszej parafii bierzmowanie.

Zgodnie z prośbą księdza wszystkie dziewczyny otrzymały imię Jadwiga, to Hedwig wtedy, bo to było za niemieckich czasów.

Do szkoły zaczęłam chodzić w 1943 r.

Rok później mój brat Paweł miał Komunię Świętą. Ksiądz Brommer chciał, żebym i ja też poszła z nim, ale rodzice się nie zgodzili. Przyszedł 1945 rok. Ksiądz zaczął przygotowywać nas do Pierwszej Komunii, którą planował na 4 lutego, bo przeczuwał, że front się zbliżał do naszej wsi.

20 stycznia, w sobotę, o szóstej wieczorem przyszedł do mojego domu ministrant i powiedział, żeby się przygotować na niedzielę do Komunii. Było zimno, bardzo zimno. Wszystkie byłyśmy w białych sukienkach, niektóre miały brązowe pończochy – no, bo jak przygotować się w tak krótkim czasie? Nikt nie miał przyjęcia, nikt nie miał prezentów.

Najważniejsze, że przyjęliśmy Pana Jezusa. Już wtedy było słychać strzały.

Ile nas dokładnie było - nie wiem, bo nie zostało to nigdzie zapisane.

Na ostatniej mszy, w środę (23 stycznia) ksiądz Brommer dał wszystkim rozgrzeszenie. Możliwe, że i ja na niej byłam, nie pamiętam dzisiaj dokładnie. W nocy z 26 na 27 stycznia do Zimnic weszła Armia Czerwona.

Dwoje dzieci pierwszokomunijnych,
Martę Kluczny

z Zimnic Wielkich i Ewalda Cisa z Zimnic Małych, zabito w czasie tego frontu. Ten Cis nie wiem, jak zginął, natomiast ta Kluczny wraz z matką uciekały chyba do Prószkowa. Musiały przebiegać przez jakąś strzelaninę.

Kiedy nadszedł front, myśmy byli u Kubiczka w piwnicy. Było nas tam przeszło czterdziestu. Dzięki Bogu nikt z nas nie został zabity. Przeczekaliśmy w tej piwnicy do 13 lutego, a później wyprowadzili nas żołnierze. Uciekliśmy za Odrę. Gdzieś po Wielkanocy wróciliśmy, chyba po jakichś sześciu tygodniach.

Byliśmy tydzień w Kamieniu, tydzień w Kosorowicach, gdzie się jeszcze urodził braciszek. Później w Falmirowicach, a z Falmirowic wróciliśmy do Zimnic. Wieś była prawie w całości zniszczona, doszczętnie okradziona, kościół wypalony. Wielu budynków po prostu nie było, a te, które zostały, podziurawiły kule. Nie wiem, czy ostały się w całej wsi ze dwie stodoły, czy może tylko jedna.

U Kuca jak się paliło, to wszystkie krowy, wszystkie konie, wszystko się popaliło. Nikt tam nie szedł z pomocą, bo czym by mieli to zgasić? Mnie powiedzą niektórzy:

“No ja, ty to jeno możesz wiedzieć z opowiadaniów”. A jednak dużo zapamiętałam. Na przykład, jak nas wyprowadzali za tą Odrę, to najpierw przyprowadzili do klasztoru, tam zebrali w grupę, a później jak się ściemniło, to się przeprawialiśmy przez rzekę. Na podwórkach i wszędzie leżały trupy. Nie było nikogo, kto by je zaraz pozbierał, bo to była zima, no i przecież każdy się bał wyjść.”

Pani Teresa powiedziała mi, że nie ma zdjęcia ze swojej Komunii, ale pokazała mi fotografie ze spotkania w 50. rocznicę tej uroczystości.



Spotkanie uczestników I Komunii Świętej z 1945 r. wraz z obecnym ks. Janem Czeredą przed kościołem w Zimnicach Wielkich, 29.01.1995r. Pani Teresa Blachutzik - pierwsza z prawej w drugim rzędzie.

“29 stycznia 1995 r. odbyło się spotkanie wszystkich żyjących uczestników Pierwszej Komunii z 1945 r. Podczas niego doliczyliśmy się, że do Komunii przystąpiło nas 27, chociaż na pewno było więcej.

Dobrze się stało, że nasza szkoła przyjęła imię księdza Karola Brommera. Dużo ludzi we wsi pamięta go i dobrze wspomina, to może i nasze wnuki o nim nie zapomną”.

* * *

Dziś Zimnice Wielkie to ładna wieś. Piękne domy i zadbane ogródki nie zdradzają wojennej historii. Są jednak obiekty związane z tym okresem. Za kościołem stoi pomnik postawiony ku pamięci tych strasznych wydarzeń, ku czci zabitych niewinnie 64. ludzi. Głaz ten ma również swoją historię. Postawiono go w 1948r. z inicjatywy sołtysa Józefa Kuca, którego syna zabiła mina. Po wojnie takie przypadki były dosyć powszechne, zwłaszcza wśród młodych chłopców.

Gdy w Polsce nastał komunizm, obelisk odwrócono napisem w stronę ziemi,

a sołtys został aresztowany. Kamień przywrócono do pierwotnej pozycji dopiero po zmianie ustroju.

W kościele, po prawej stronie od głównego wejścia, na ścianie wisi krzyż z Jezusem, a po jego obu stronach dwie tablice z wypisanymi nazwiskami osób, które zginęły podczas obu wojen.

Wspomnienia przywołujące styczeń 1945 r. we wsi są nadal żywe. Niestety, osób pamiętających ten czas będzie coraz mniej. Dlatego uważam, że nadanie imienia ks. Karola Brommera Zespołowi Szkół w Zimnicach Wielkich było naprawdę dobrym pomysłem.

Taki krok sprawił, że tragiczna, a zarazem piękna historia będzie rozpowszechniana wśród dzieci i młodzieży, nawet gdy zabraknie najstarszych parafian. Jednocześnie młodsze pokolenie będzie poznawać wartość i silniejszą przynależność do swojej małej ojczyzny.

Jacek Drwięga
2009 r.

Wojna we wspomnieniach

Tematem mojej pracy są wspomnienia, głównie mieszkańców Zimnic Wielkich z II wojny światowej. Odwiedziny u osób, które przeżyły wojnę, pozwoliły przynajmniej częściowo zrozumieć, jakim nieszczęściem jest wojna. Wiem, że nie wszystko da się opowiedzieć. Są rzeczy tak straszne i makabryczne, o których się po prostu nie mówi. Ci ludzie stracili swoich najbliższych, niektórzy byli nawet obecni przy ich śmierci. Pan, z którym rozmawiałam, opowiedział mi o miejscu w domu, gdzie w ścianie są trzy duże dziury od strzału z broni maszynowej. To właśnie tam zastrzelono jego rodziców. Myślę, że moja praca da świadectwo temu, że wojna to nie tylko potyczki władz państwa, chęć rozszerzenia terytorium, ale także śmierć niewinnych ludzi, którym odebrano życie bez powodu, zostawiając w rozpacz bezradną rodzinę.

* * *

Leonard Cebula (ur. 1936r.)

„26/27 stycznia Rosjanie weszli nocą na teren Zimnic i zajęli całą wieś. Była to najtragiczniejsza noc w historii wioski. Gdy wdarli się, zapalili stodoły, domy, gospodarstwa. Paliła się cała wieś. Przejęli plebanię, zabijając księdza Karola Brommera. Ja z moją rodziną (miałem wtedy 8 lat) schowaliśmy się w piwnicy, w domu mojej ciotki Any. Było nas tam ponad 20 osób. Przebywaliśmy tam od pierwszego dnia frontu. Pewnej nocy na gospodarstwo obok, które należało do nas, spadła bomba. W oborze było pięć krów i wiele innych zwierząt.

Trzeba było szybko zwierzynę wyprowadzić. Podczas wojny siedzieliśmy w piwnicy o powierzchni 20m przez tydzień, bez jedzenia i bez picia. Mieliśmy tylko upieczone dwa dni przed wejściem Ruskich cztery bochenki chleba. Wody nie było. Każdy się bał wyjść.

Ciotka, jako jedna z najodważniejszych, wychodziła na zewnątrz i zbierała do miski śnieg. Był to nasz zapas picia.

Mój ojciec był jedynym z dorosłych mężczyzn w tej piwnicy. Jeden major rosyjski aż cztery razy przychodził po niego, by go rozstrzelać, ale kobiety nie chciały do tego dopuścić. Po czterech dniach przepadł bez wieści. Po tygodniu, gdy na nasz schron spadła bomba, byliśmy zmuszeni uciekać. Po południu wyszliśmy przez okno na ulicę i biegliśmy w kierunku lasu. Jako pierwsza biegła kobieta z czworgiem dzieci, gdy dotarła za zabudowania, została raniona. Jej córkę zastrzelono.

Leżały obie w śniegu. Za nią biegła moja kuzynka z trojką dzieci, również została ranna. Dotarliśmy do domu naszych znajomych. Tam poczekaliśmy do wieczora. Po zmroku uciekaliśmy dalej w kierunku lasu. Z naszej grupy zginęła dwójka dzieci w wieku 8 lat.

Szliśmy w stronę Prószkowa. Rano zawieźli nas samochodami do Prudnika, stamtąd pociągiem do Czech. Tam mój brat zachorował na zapalenie płuc. Do zakończenia wojny mieszkaliśmy u lekarza, który opiekował się bratem. Pomogliśmy mu również przygotować się na wojnę. Po jej zakończeniu 9 maja wróciliśmy bydłowym wagonem do domu."

Maria Panusz (ur. 1933r.)

„Gdy nadeszła wojna, od razu ja, moja rodzina, znajomi i krewni schowaliśmy się do piwnicy. Było nas tam około 30 osób. Mieliśmy trochę zapasów jedzenia, ale po tygodniowym pobycie powoli zapasy się kończyły. Nie wiedzieliśmy, kogo zabili. Z naszego schronu akurat nikogo nie zastrzelono. Często przychodzili do nas żołnierze i pytali o młode panienki. Na straszny cel. I dużo było takich - zgwałconych przez żołnierzy dziewczyn. Gdy była wojna, miałam niespełna 12 lat. Po tygodniu w nocy kazano nam opuścić schron. Biegliśmy w kierunku Odry, by przedostać się na drugą stronę. Pamiętam, jak mijaliśmy po drodze trupy osób, które znałam.

Ale jednej rzeczy nigdy nie zapomnę.

Gdy tak biegliśmy, na drodze zauważyłam rozłożony strój zakonnic. Ten widok będzie już w mojej pamięci do końca życia. Do zakończenia wojny przebywałam w Niemczech, gdzie nas wywieźli. Po wojnie dużo młodych chłopców zginęło lub zostało kalekami od niewypałów bomb lub min.

Pamiętam, jak niedaleko cmentarza czterech młodych chłopców wpadło na pomysł, by rozbroić minę. Dwóch schowało się za duży kamień, a dwóch poszło się zabawić. Zabawa skończyła się na tym, że bomba wybuchła, a po chłopcach nie zostało nic..."

Hubert Wilk (ur. 1932r.)

„Gdy wojna miała nadejść, nie było nakazu ewakuacji. Na samym początku strzelaniny ostatnim autobusem wyjechałem z rodziną z Zimnic. Miałem wtedy prawie 13 lat. Potem wywieziono nas pociągiem do Kłodzka. Tam przebywałem aż do kapitulacji. Do Zimnic wróciłem 18 czerwca 1945 roku. Wszystko było zdewastowane.

Pierwszym wrażeniem było to, że wieża z kościoła została zburzona.

Każda stodoła była spalona. Najbardziej zniszczone było centrum wsi."

Jan Wocka (ur. 1933 r.)

„Jak ja pamiętam, to po pierwszej nocy, kiedy weszli Rusi paliły się dwa domy, w tym dom mojego dziadka. Było to o północy. Później te bandziory weszły do kościoła i ukradli świece, z którymi chodzili po wsi. We wsi na początku było piętnastu żołnierzy niemieckich. W pierwszym momencie żołnierze ruscy ostrzelali całe centrum wsi. Przez sześć tygodni podczas frontu byłem w wiosce. Jak rano zaczęli strzelać z ciężkiej artylerii, to trzeba było się schować w piwnicy.

W schronie nie było światła. Panował straszny mrok. Brakowało nam jedzenia, bo skąd. Po sześciu tygodniach przyszli po nas Rusi i kazali w nocy uciekać za Odrę. Aż do 3 maja przebywałem poza Zimnicami. Gdy wojna ustała, wróciliśmy z powrotem.

Podczas ucieczki pamiętam, że zostawiliśmy w domu pieska. Długo nie mogłem się z tym pogodzić. Gdy siedzieliśmy w piwnicy, to wiele razy do nas przychodzili Ruscy, szukając młodych dziewczyn. Codziennie moja mama doła krowę i dawała im garnek mleka, bo im bardzo smakowało.

Dzięki temu nie zrobili nam krzywdy.

Żołnierze, którzy byli u nas, ciągle szukali Niemców. W nocy chodziłem z tatą i chowaliśmy zabitych z okolicy. Zakopywaliśmy ich na podwórku. Nie miałem nic do gadania. Po wojnie odkopywaliśmy tych zmarłych, bo trzeba było ich na cmentarz przenieść.

Jak podczas wojny zaczęli strzelać tak około trzy razy na dzień, to nie masz pojęcia, co to wtedy było. Dzieci płakały, słysząc było gwizd bomb. Modliliśmy się, żeby przypadkiem nie trafiło w nasz dom. Dziwię się bardzo, jak pokazują wojnę w telewizorze.

O wyjściu z domu nawet nie było mowy! Groziło to pewną śmiercią. Na drodze nie było nikogo. Paliło się codziennie.”

Irmgarda Cebula (ur. 1937 r.)

„Na początku wojny w 1939 roku mój ojciec został powołany do niemieckiego wojska. Walczył we Francji. Rok później został zabrany przez Amerykanów do niewoli, do Afryki do miejscowości Ksar-es-Souk. Gdy dostał się do niewoli, musiał przejść specjalną kontrolę. Przeszukując jego ubiór, żołnierze znaleźli różaniec. Zapytali go, czy jest katolikiem. Odpowiedział, że jest i oddali mu go z powrotem. Po kontroli kazano mu dojść do specjalnego samochodu, którym mieli być dowiezieni do portu, z którego mieli odpłynąć do Afryki. Musiał pomóc dwóm rannym żołnierzom, którzy nie mogli pójść o własnych siłach. W pewnym momencie padł strzał. Człowiek z lewej strony padł nieżywy, po chwili drugi strzał. Tym razem trafiło w człowieka z drugiej strony. Tata mi zawsze mówił, że dzięki temu różańcowi przeżył. Udało mu się przejść cało i zdrowo niewolę. W niewoli był do 1945r. W jednej celi było ich 50. Z czasem zachorował z wycieńczenia. Nie dostawali prawie nic do zjedzenia. Ważył 47 kg. Przewieźli go później do szpitala, a stamtąd zwolnili do domu. Czasem mama i ja pisałyśmy do niego listy. Jego korespondencja była krótka i zawierała tylko podstawowe informacje. Jak ojca wzięli do wojska, zostaliśmy same.

Pamiętam jak dziś, w styczniu 1945 roku przyszedł front. Przyjechali do nas krewni z Nowej Wsi Królewskiej. Było ich 20 osób. Powiedzieli, że wojna będzie tylko do Odry, a tu nie będzie. Jak zaczęła się strzelanina, schroniliśmy się do piwnicy. Jak trochę ustało, żołnierz niemiecki kazał nam uciekać. Pobiegliśmy do znajomych. Stamtąd zabrano nas do Korfantowa. Później do Austrii, do Niemiec."

Adolf Piechaczek (ur.1929)

„W czasie wojny mieszkałem w Boguszykach. Gdy nadszedł front, miałem 16 lat. Raz wioska opanowana była przez Niemców, raz przez Rusów.

W mojej wiosce było 375 zabitych przez Rosjan. Była taka komisja, co chodziła po domach i kazała wybranym wyjść. Na rozstrzelanie... Zabijali całe rodziny. Wszyscy młodzi, zdrowi mężczyźni musieli iść do wojska. Ja i moja rodzina siedzieliśmy w piwnicy. Mój ojciec nie był w wojsku ze względu na wiek. W piwnicy było nas 15 mężczyzn, 20 kobiet. Po jakimś czasie znów niemieckie wojsko przejęło wieś. Przyszedł do nas jednej nocy żołnierz i kazał nam opuścić wioskę. Spakowaliśmy się, daliśmy nasze rzeczy na sanki i zaczęliśmy biec w kierunku lasu. Strzelali do nas, przez co bardzo dużo rzeczy zgubiliśmy. Mieszkańcy, którzy nie uciekli, zostali zabici. Przez las doszliśmy do Prószkowa, stamtąd piechotą do Czech, gdzie moja siostra miała zakład szewski. Zatrzymaliśmy się u niej. Gdy wojsko ruskie dotarło do Czech, to wtedy wróciliśmy z powrotem do Polski. Powrót zajął nam trzy dni. Szliśmy z naszym dobytkiem na wózkach. Na pierwszym wózku powiesiliśmy flagę Polski i tak doszliśmy cali do domu. Nikt nam nic nie zrobił. W Boguszykach byliśmy w 1946 r.”

* * *

Wojenne wspomnienia tych młodych wówczas ludzi, które głęboko utkwily w ich pamięci, są dowodem na to, jak wielkim nieszczęściem jest wojna.

Niszczy wszystko wokół, a przede wszystkim zabija, a tym, którym udaje się przeżyć, pozostawia piętno cierpień do końca życia. Ludzie powinni robić wszystko, by nigdy więcej nie było na świecie wojen.

Lidia Cebula
2004r.

Na płacz zabrakło łez. Wywiad z panią Albiną Piechaczek (ur.1914r.), mieszkanką Żlinic

Jak wyglądał tamten styczeń?

Była wtedy sroga zima. Wszyscy siedzieliśmy pochowani w piwnicach.

Jedliśmy tylko kartofle, które gotowałam, kiedy ustawały strzały. Ale dzięki Bogu, że były te kartofle, bo jakby tego nie było, to co by było?

Czy słyszeliście odgłosy toczących się walk?

Tak. Najintensywniejsze strzały było słychać wcześniej rano i wieczorem. Po

kilku dniach bez problemu rozpoznawaliśmy, czy to odgłosy z dział rosyjskich, czy niemieckich.

Czy często widywaliście żołnierzy rosyjskich?

Tak. Rosjanie zaglądali do piwnicy. Wypytywali nas wtedy o różne rzeczy. Dobrze, że moja Eli nie umiała mówić, bo by nas mogła zdradzić. Zdarzało się, że spali w naszych domach.

Musieliśmy ich przyjąć, żeby nas nie zabili. Niektóre kobiety nie przyznawały się do tego swoim powracającym z wojny mężom, bo bały się, że posądzą je o zdradę. Przez to, potem, w wielu rodzinach była niezgoda.

Jacy byli Rosjanie w stosunku do Was?

Pierwsi byli okrutni. Modliliśmy się wtedy do Ducha Świętego, aby się polepszyło. I tak się też stało. Przyszli potem żołnierze, którzy byli dobrzy.

Bawili się z naszymi dziećmi i częstowali je czekoladą, cukierkami. Był to jednak koniec, a to, co przedtem było, nie da się opisać. (Pani Albina na chwilę zamilkła i pojawiły się łzy w jej oczach). Ci pierwsi to nie byli ludźmi, to były zwierzęta.

Czy mieliście kontakt z naszym wojskiem?

Nasze wojsko, nasi wojacy, zanim przyszli Rosjanie, spali w naszych izbach. Na święta Bożego Narodzenia robiłam uroczystą kolację. Na tę okazję upiekłam pyszne ciastka. Kiedy przyszli Niemcy, chciałam ich poczęstować. Oni jednak powiedzieli, że mam je zostawić dla dzieci. Wiedzieli już wtedy dobrze, co mnie czeka, ale ja jeszcze nie wiedziałam.

Skąd miała pani tyle siły i odwagi, że zajęła się chowaniem ludzi?

Bóg dał mi taką siłę, że chodziłam zbierać trupy. Mąż mój poległ na obcej ziemi, ja go nie mogłam pochować, ale wtedy wiedziałam, że jak ja oddam tę ostatnią przysługę zmarłym, którymi ich rodziny nie mogły się zająć, to Bóg sprawi, że tam w Rosji ktoś tak samo zatroszczy się o mojego męża. Najpierw pozbieraliśmy zabitych z ulicy i chowaliśmy ich koło domów. To, co ja wtedy oglądałam, nigdy nie da się opowiedzieć ani wykrzyczeć, ani wypłakać się nie da. Weźmy taką Chudalinę, bardzo porządną kobietę, pobożną i dobrą dla ludzi - leżała w chlewie, bo tam ją zastrzelili. A jednego chłopca, który leżał wśród świń, już w połowie pożarły... To wszystko zrobili ludzie... Nasuwało mi się wtedy pytanie: Ja ich dziś chowam, a kto mnie pochowa jutro?

Jak to wszystko wyglądało?

Gdzieś znalazłam karetkę, taki niewielki wóz, zaprzęgam do tej karetki krowę i tak przewoziłam trupy na cmentarz. Kładliśmy je całymi rodzinami obok siebie, ja pamiętam, kogo w jakiej kolejności kładłam. Zaglądaliśmy do każdego domu, do każdej komórki, do każdego pomieszczenia. Nic się nie bałam, taką miałam od Pana Boga siłę.

Najokropniej zmasakrowani byli Binkowie, ale powiem uczciwie - ich mi było najmniej z wszystkich żal, za to, co on tu z ludźmi wyprawiał. Najgorzej było u Lubczyków. To była Sodoma i Gomora. Nie wiem, ilu tam ludzi zginęło, bo w tych izbach, gdzie się paliło, znajdowaliśmy uwędzone ciała, ale też tylko strzępy albo tylko spopielone kości. W tej komorze był taki fetor, a ja zaciskałam nos i kolejno jednego po drugim wynosiłam. Całe podwórko było pokryte trupami. Wszyscy postrzelani z automatu, bo niektórzy mieli więcej ran. Ja dużo ludzi nie znałam, bo nie byli z Boguszyca, ale się tu chowali. Też ich zawiozłam na cmentarz.

Jak wyglądała wieś po powrocie zza Odry?

Wieś była bardzo zniszczona. Wiele gospodarstw przestało istnieć. Wszędzie były popalone szopy i stodoły. Kobiety zabrały się do chowania reszty trupów i padliny. W wiosce unosił się okropny fetor. Panował także tyfus. To właśnie kobiety sprawiły, poprzez ciężką pracę, że nawet tej wiosny ziemia zaczęła rodzić.

**Czy często przypominają się pani
tamte straszne wydarzenia?**

Tak. Teraz w takim starym wieku wspomnienia coraz częściej mnie nawiedzają. Nie da się o nich zapomnieć. Często przez to nie mogę spać. Ale każdego dnia dziękuję Bogu za to, że dał mi wtedy tyle siły, że udało mi się przeżyć i moim dzieciom.

Bożena Baron
2004r.

O księdzu Karolu

Ksiądz Karol
był to wielki bohater.
Poświęcił życie,
aby uratować ludzi wielu.
Był uparty wobec Boga,
aby dojść do celu,
by błogosławić ludziom w czas wojny i nieszczęść wielu.
Postawił cel,
by kochać bliźniego i Boga dobrego.
Dlatego zginął od kuli żołnierza podstępного.
Pamięć o nim nie zaginie
i wśród zimniczan jego dobre imię wciąż słynie.

Magdalena Rzitka
2024r.

Ksiądz Karol Brommer

W cieniu historii, w parafii wsi Zimnice,
mieszkał ksiądz Karol, co kochał swój lud nad życie.
Wśród wojen grozy, gdy lęk wkradł się w domy,
wiódł swoich wiernych, wskazując im drogi.
Msze po polsku odprawiał, nawet gdy zakazali,
aby ludzie w swej wierze ciągle trwali.
Gdy front się zbliżał, ksiądz Karol nie drżał,
lecz z sercem gorącym z domu odjeżdżał.
By dzieci do Pierwszej Komunii prowadzić,
by miłość do Boga w ich sercach rozpalić.
Choć los tragiczny przyszedł w końcu,
jego duch żyje w wiecznym słońcu.
W Zimnicach jego grób kwitnie co roku,
a my pamiętamy go z wdzięcznością w oku.

Daniel Kwiatek
2024r.

Wybór i korekta tekstów: Jolanta Drwięga
Skład graficzny: Mateusz Szmolke
Konsultacja techniczna: Joachim Wocka
